

Pani redaktor nie tańczy

Cudze teksty. Od rana cudze teksty. Potworkowate opowiadania, uczniowskie recenzje, wiersze wywołujące mdłości. Na jej uprzejme „proponuję przeczytać, pożyczyć, popróbować”, dobre rady cioci-kłoci maskujące odruch wymiotny, często odpowiedzi agresywne, bo w końcu co, zawsze gdzieś mnie wydrukują, co mi tu będzie jakaś pańcia o poprawności zdań, jak ja mam natchnienie i mi-się, liczy się przeżycie i nadzwyczajny pomysł, nikt nie miał takich doznań, nie mówiąc o tym, że pisma literackie chyba są, kurna, od drukowania literatury, nie od tego, żeby się jakaś, z przeproszeniem, polonistka, całkiem bez iskry bożej, wymądrzała.

Ale trzeba czytać, odpowiadać, słuchać, trzeba się czegoś trzymać. Rano wydobyć ciało ze snu, odlepić od pościeli, przerwać ten najazd niechcianych strzępów, wśród których zdarzają się twarze i dłonie, ta jedna w rękawiczce. Trudno tym majakom ufać. Nie chce ich (poza Anną, która przychodzi rzadko), jakoś się przeciw nim zabezpiecza, wieczorem okłada głowę i brzuch poduszkami, zawsze na prawym boku, żeby nie uciskać serca, uchylone okno, nago, bo od materiału może swędzieć ciało, wszystko przeszkadza, chociaż po pigułce, której miała nie brać, wcale nic nie powinno.

Na pigułkach piszą (podejrzewa spiszek koncernu i ma rację), że nie uzależniają. A jak nazwać to wyczekiwanie na 22.00, kiedy można już i trzeba, bo bez tego taki koszmarny? Woda wylewa się z wanien i muszli klozetowych, jakieś rzędy kabin, zastanawiające, może to naprawdę chory pęcherz, ale też statek, hotel, plaża, bezustanne szukanie dziury w całym, pejzaże nieprzypominające realnych, kamienne miasta, skute lodem autostrady, jakby nie było w niej ani odrobiny pewności, spokoju, harmonii, tylko ten niepokój, lęk i nierozpoznane sektory „ja”, bezustanna powtórka z kuchennej autoanalizy oraz estetyki kobiecej egzystencji; raz w tygodniu wojna, wojna, ucieczki i obozy, bombardowania i żołnierze w stalowych mundurach, długa kolejka do wydostania się stamtąd, chociaż urodziła się długo po, a kadry z *Czterech pancernych* nie powinny przerażać. Absurdalnie bliska, realistyczna wojna z nią samą w centrum wszelkich potworności – o części z nich rano nie pamięta. Więc maleńka piguleczka, natychmiast podcinająca świadomość. I chociaż czyta do ostatniej chwili (na tym prawym boku większe książki odpadają, niewygodnie, kartki A4 też kłopot), stara się w tej naprawdę ostatniej, zanim ustąpi dawce nowej-generacji-środku myśleć o czymś miłym – ona w swoim mieszkaniu, on niosący siatkę do jej samochodu i niezamierzający do nikąd odjeżdżać, urodziny podczas wakacji z powstrzymanym jednym gestem dłoni, wreszcie ktoś zauważył, „sto lat”, raz w życiu udana fryzura na zdjęciu ze szmaragdowym, nierealnym tłem, smak ciastka w śródmiejskiej kawiarni, trudno powiedzieć w środku jakiego miasta. I jakie ciastko zwycięża w plebiscycie sentymentów, jaki ma związek z recepturą piekarniczą. Dużo, dużo przyjemnych przymiotników, bez dotykania sedna. Najważniejsze: nie czuć, nie czuć rozlewającego się przez

cały dzień, obecnego nawet przy zasypianiu, bólu. Lekkiego, do wytrzymania, za to nieusuwalnego, spowalniającego gesty, czasem pieniacego się w niej jak złość, kiedy opowiada komuś o kimś innym, wciąż czegoś żądającym od „pani redaktor”. Kiedy opowiada, zastępując tym coś innego, czego nie powiedziała by nigdy w życiu.

Bo w ogóle, czy nie mogliby jej dać spokoju, dać jej wreszcie, na przykład, wolnej soboty, najlepszej zdobyczy epoki Gierka? Kto by pomyślał, niektórzy nie pamiętają, jakim wolna sobota była przełomem. Czy jej się nie należy? Czy nie była wówczas, gdy nagle tydzień zaczął mieć 5+2, grzecznym dzieckiem? Grzeczną, uściślijmy, dziewczynką? Chociaż może nie, może tamten bunt, ciągła złość – nawet ktoś z rodziny powiedział jej wówczas, że nie lubi ludzi – a przecież uwielbiała ludzkość, nie godziła się bez szemrania na żadną z tych rzeczy, biedę i jej zapach w okolicznych bramach, brudne paznokcie chłopaków z ostatniej ławki, wyraźną nierówność wbrew hasłom międzynarodowej sprawiedliwości; może więc jej dziką złość i bezkompromisową, patetyczną prawie-już, tak właśnie, rozpacz, ktoś rozpoznał, zanotował, uwiecznił w jej aktach? Może to był ten grzech pierwszy, na którym, z którego tak trudno zbudować przyzwoitą osobowość naszych czasów, dobrą konsumentkę dóbr, porządną kobietę? Czyli, jeśli tak, wolna sobota nie była dla niej, tak jak nie dla niej pisano książki dla kobiet, kręcono filmy, wyposażano hipermarkety. Cały świat dokąś pędził, często przychodziło jej do głowy to banalne zdanie, a ją pęd męczył, chyba że był własny, wystukany na klawiaturze komputera, wyszeleszczony kartkami, podkreślony ołówkiem. Jasne, czasem zdarzały się przebitki na pisk opon, stukanie szkłem o szkło albo o marmur, ale najbliższe było pocieranie po-

liczka opuszkami palców, bezwiedne, podczas przekładania przedmiotów na biurku. Nie miała wolnych sobót.

Jasne, nie wiedziałyby, co zrobić z tak miłym podarunkiem. Sprzątać mieszkanie? Uprawiać życie rodzinne? Iść na spacer? Oglądać w telewizji film z cyklu *True Story* albo z płyty nie mniej prawdziwą komedię romantyczną? Zrobić manicure, żeby potem bardziej podobały się jej samej te używane do drapania i stukania, paznokcie? Być z kimś, podpowiedziałyby książki grocholopodobne. Być z kimś, krzyczała do niej tak zwana kultura. Będąc, więcej trzeba kupić, wchłonąć, o więcej zadbać. Nie miała na żadną z tych rzeczy ochoty, narzekanie na brak czasu należało do koniecznego rytuału, o to właśnie chodziło – zawsze być bez czasu. Potem kłaść się na prawym boku i wyłączać całą tę konstrukcję, ten szkielet zajętej kobiety, gotowej wziąć na siebie coś i coś jeszcze, słuchać, załatwiać i odpowiadać bez końca, byle przed 22.00 nie zostać w pobliżu swojego ciała, na lewym boku – groziło zawałem serca.

A przecież wiedziała o tym i w ogóle prawie wszystko. Patrzyła prześwietlającym wzrokiem na młode kobiety pijące podczas spotkań literackich, biznesowych lunchów i w innych sytuacjach piwo, na lekko obrzmiałe twarze nadelokwentnych pań w telewizorze (przodowały w tym polityczki), rozpoznawała ten niby-zdrowy odcień skóry, aktywność organizmu zmobilizowanego kacem. W jedzeniu palcami z cudzego talerza diagnozowała bulimio-anoreksję. Mizdrzenie się na wszelki wypadek kwalifikowała jako neurotyczną niedojrzałość. Czuła w powietrzu ludzką niepewność i pychę. Po prostu mistrzostwo świata w rozumieniu ludzi. Miała długie katalogi opowieści, była Marią Konopnicką tych czasów, tylko bardziej zepsutą, mniej skrytą i niemającą złudzeń. Swoich najlepszych i najgorszych historii – jak

Konopnicka, i w tym była jej siostrą – nie opowiedziała nigdy. Ile ułatwiało picie i dokąd mogło prowadzić. Jak dobrze było dać spokój romansom i flirtom. Mieć na podreździu skrajną empatię i niebotyczną autoironię. Kochać prywatną, nie tyle zakazaną, ile opakowaną w samą siebie, ściśle przylegającą do niej miłością, przyjaźnić się skromnie i na całe życie, kupując drobne upominki na znak wiecznej pamięci, bez dbania o symbole. Znała też krzywą depresji i wiedziała, że pod żadnym pozorem nie wolno zostawać w domu, w łóżku, że kolejny dzień trzeba spędzić jak każdy. Więc szła tam, gdzie czekały na nią teksty obcych ludzi.

Wiedziała też, jak ten temat groźnej obcości tekstów i ludzi może być banalny. Że nie należy już więcej go opowiadać. Że seksualność-tekstualność-inter-hyper-transwersalność to po prostu rzygi. Czyli coś, co było prawdziwym doświadczeniem jej życia, nie nadawało się na literaturę, jako że było pod ręką. Inni zauważyli dużo wcześniej, że z tego co pod i obok dobrze uprawiać literaturę, zamykając tym samym drogę swoim następcom. Co mieli zrobić, co miała zrobić ona, skoro codziennie doznawała tekstu (o wiele więcej niż seksu), poza tym miała pod ręką alkoholizm, bezsenność, depresję i niewyrażalne pragnienia? Siadała więc do korekty, bo dla innych (Innych) była bardziej wyrozumiała. Samej sobie nie mogła tego robić, nie mogła pisać o samotności, skoro codziennie napływało kilka opowiadań i przynajmniej pięć wierszy na ten temat, w dodatku z błędami, podobno zamierzonymi przez autorów, w pogardzie mających szkolną gramatykę. I nie mogła pisać o dłoni w skórzanym rękawiczce, bo tym robiłaby innym dobrze, jakby osobiście brała całkiem obcych facetów za jaja. A prawdę mówiąc, jakoś ją odeszła na te rzeczy ochota.

Poza tym były jeszcze inne okoliczności. Te porady

i prawdy. Z pism dla kobiet i poważnych podręczników. Nowa Kobieta oraz substancjalna kobiecość. Dziesiąty referat o braku dostępu do własnego ciała, zawinionym przez kulturę, alienującą i wykluczającą kobiety... Tymczasem ciało miała pod ręką, dosłownie także. Przynajmniej własne. I nie o nie najczęściej chodziło. Nie o te wszystkie banalne kłopoty z osobowością, różne „nadmierne” lub „niedostateczne”. Nie o patriarchalizm kultury, który miała właściwie w dupie, bo niby jak jej dotyczył, skoro tak rzadko pozwalała światu dotykać się bezpośrednio? Teksty, owszem, te pełne były przesądów i, z przeproszeniem, fałszywych konstrukcji kulturowych. Jednak w końcu były też sentymentalne, wulgarne, nieudolne, grafomańskie, bufońskie, nedorobione i nudne. Jeśli przy tym wszystkim bywały „niesprawiedliwe” wobec kobiet albo za sprawiedliwe, jakoś nieznośnie prawomyślnie-feministyczno-otwierające – to można było, prawdę mówiąc, w powodzi i tak dobijających cech prawie tego nie zauważyć.

Najlepsze było to, że narzekając i bezustannie krytykując wszystko i wszystkich, zamykając się z ostatnim nałogiem, nałożkiem, a właściwie nałożkiem – małą tabletką nasenną – była całkiem zwyczajnie wyrozumiała i dobra dla tych wszystkich najczęściej niepoznananych osobiście ludzi. Jakoś jej było żal tak wprost powiedzieć, napisać, że nie warto. Że nikt tego, nawet drukowanego w piśmie bardzo-kulturalnym, i tak nie przeczyta, a gdyby przeczytał, nie uderzy to w niego jak grom z jasnego nieba, nie ogarnie pożogą świata, prawdopodobnie nie pozwoli nawet wyrwać lepszej panienci, bo wszystkie te cudowne przywileje – ogarnianie, uderzanie, wyrywanie i parę innych – zarezerwowane są dla gwiazd popkultury (jeśli taka daje się jeszcze pomyśleć jako nie jedyna) i tych artystów, którzy mają wiarę

mocną jak kafar wiodącego producenta ciężkiego sprzętu. Wiare, dodajmy, w siebie.

Wiary, jasne, nie brakowało, przy deficycie umiejętności. Co z tego? Ano to, że potrzebne by były oba te dary we właściwych proporcjach. Trudno było nie zauważyć, że najbardziej wierzyli w siłę literatury ci, którzy nie przebywali nawet w jej przedsionku. Grafomani oraz zawodowi nudziarze, realizujący się w gronie podobnych. Członkowie ponadpokoleniowego Klubu Pisoników, których personaliów świat nie chciał poznać. Wiedziała to, a także, że pisanie trzymało niektórych przy życiu. Innym dostało się niezasażenie. Byli tacy, którzy – dobrze zapowiedziani – trzymali się nieźle, mimo niespełnionych obietnic. Czy mogłaby powiedzieć, w zgodzie z własną wiedzą o świecie, ujawniając swój gust: naprawdę nie warto? Przecież gdyby było warto, gdyby na tym polegało życie, gdyby ułożyło się inaczej, może zostałaby poetką, zamiast udzielać niechcianych porad innym. A gdyby, tak z drugiej strony okazało się na przykład, że definitywnie nie warto – powinna się zająć czymś pożytecznym, jakimś zawodem mającym przyszłość. Nie tak ni to, ni sio. Ni pies, ni wydra. Ani pisarka, ani wręcz przeciwnie.

Czasem jej dobroć topniała, zamieniała się w błoto, w ciekły metal nieco powyżej żołądka. Siadały naprzeciw niej dziewczyny z czerwonym wykwitem na szyi. Szalone kobiety w średnim wieku. Mężczyźni z tłustymi włosami. Przekręcali jej nazwisko. Dawali do zrozumienia, że wiedzą lepiej. Uśmiechali się ironicznie w czasie, gdy szukała eufemizmów na słowo grafomania. Czasem przerywali niecierpliwie albo sygnalizowali, że zaraz pójda w cholerę, trzaskając drzwiami; zaraz ją otwartą dłonią w czoło trzasną. Lepiej było tego unikać, unikać, unikać...

Więc kładła się co wieczór z tymi przeczytanymi i nieprzeczytanymi tekstami, świadoma tego, że ta praca nie skończy się niczym i nigdy. Nigdy też nie przekuje się w fabułę, którą można by sprzedać. Nie da ukojenia. Nigdy nie nadejdzie finał, jak w neoawangardowej powieści, a nawet jak w komedii romantycznej. Nie będzie żadnego wielkiego finału. Trzeba się z tym pogodzić: pani redaktor nie tańczy. Nic, tylko czyta.

Uczniwa trawie	27
Waskie przesłane	27
Murzyn z francuskiej kolonii	28
Słońce deszczu	29
Tydzien w lipcu i z powrotem	31
Śmierć i życie	32
Ucieczka z ulicy Beutowska	36
Pociąg do Berlina	39
Porada	41
Bransoletka 1983	112
Pole walki w rajskim ogrodzie	113
Teściowa	119
Za Czesłem	130
Dzień z wyjątkiem z Marysią	140
Testament	155
Kiedy płacę	160
Smaki i dotyk	178
Niespodzianie	184
Nad stolikiem nad kawałkiem	189
Rozmówki między przyjaciółkami	193
Kobieta z kółkiem. Bród na paraskademiska	222
Pani redaktor nie tańczy	230